

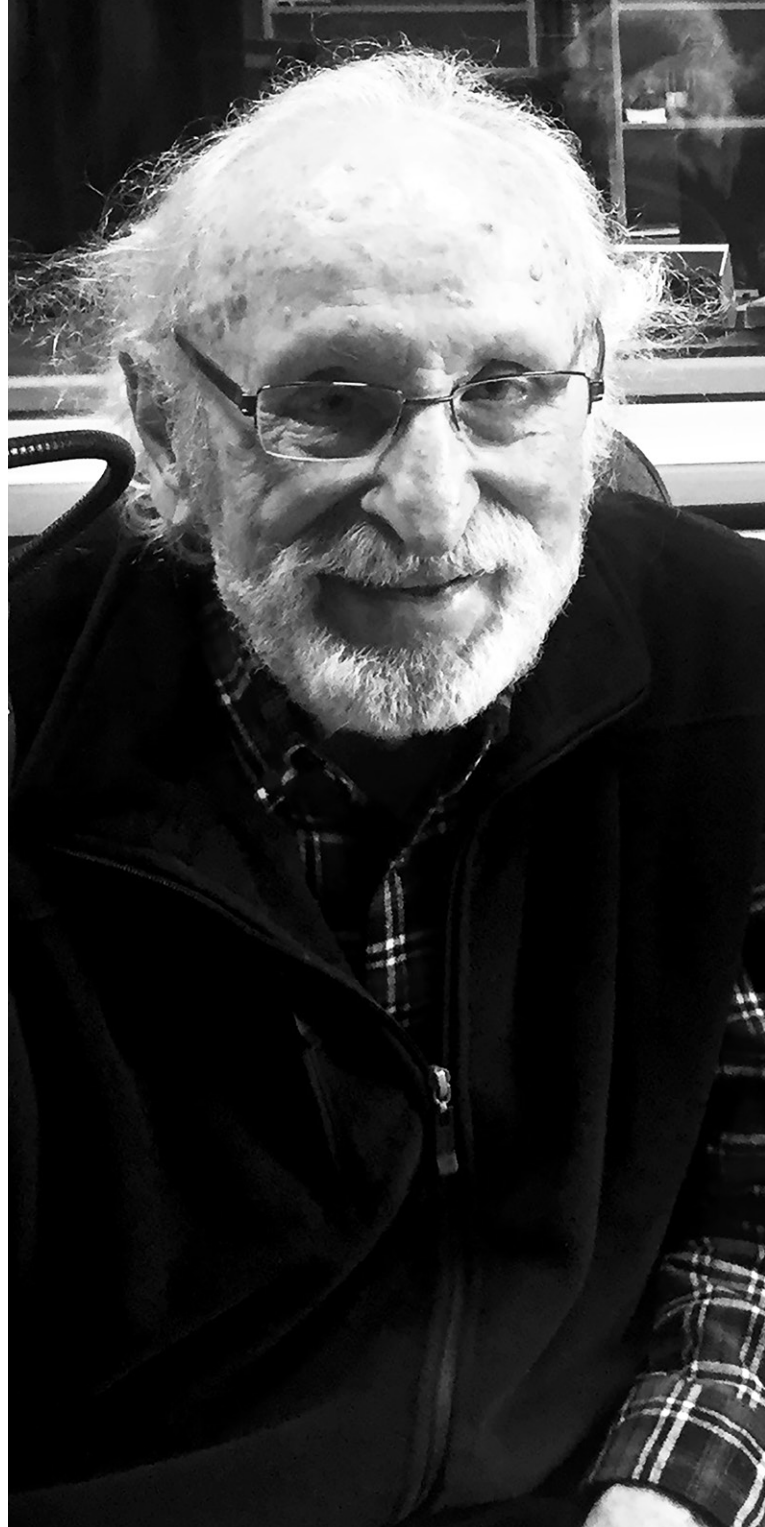
JAK MIEĆ W ŻYCIU FRAJDĘ

ROZMOWY **KASI STOPARCZYK**

MANDO

ŚWIĘTY FRANCISZEK

FRANCISZEK PIECZKA





Święty Franciszek. Właśnie tak pomyślałam, kiedy wszedł do budynku radia. Wysoki, nieco przygarbiony. Dobry. Brakowało mu tylko sękatej, pasterskiej laski. Kiedy kilka miesięcy wcześniej nagradzaliśmy go Wawrzynem Mistrza Mowy Polskiej, nasze odczucia były podobne. Wtedy stał na wielkiej scenie, teraz szedł tuż obok mnie. Szarmancko otworzył drzwi i energicznie wszedł do radiowego studia. Usiedliśmy naprzeciw siebie. I już wiedziałam, że tę swoją kartkę z pytaniami mogę wyrzucić. Mam przewodnika. Tam, dokąd mnie zaprowadzi, będziemy u siebie. Jeszcze tylko łyk wody. Jedno uważne spojrzenie.

Będę rozmawiać z kimś, kto jako mały chłopiec po cichu wymknął się z domu do kina, by zobaczyć film pod tytułem *Znachor*. Chłopiec najpierw musiał pokonać pieszo kilkanaście kilometrów, a potem wrócić do domu, w którym czekał na niego tata. I czekało łanie. Tata po śląsku krzychał tak: „Jo ci dom *Znachora*, pierona, żeby tam bomba jaka rypla. Żeby to bezbożnictwo rozwalifa!”. Nie pomogło. Syn został aktorem. Wybitnym, bo to właśnie jego role przez lata definiowały osobny nurt polskiej kinematografii. Choć największą popularność zyskał dzięki roli w serialu *Czterej pancerni i pies*. Roli niewiarygodnie silnego, poczciwego Gustlika, który, tak jak kreujący tę postać aktor, potrafił kochać z całych sił. I być może z tego właśnie

powodu ukochał najpiękniejsze piosenki o miłości, które tak sugestywnie potrafiła śpiewać Edith Piaf.

Przy pierwszych słowach piosenki Milord na twarzy pana Franciszka pojawia się wzruszenie. Tak, to na pewno jego ulubiona piosenka.

Proszę wejść, Milordzie,
Usiąść przy moim stoliku.
Tak zimno jest na dworze,
A tutaj tak wygodnie.

Panie Franciszku, czy to prawda, że nosi pan przy sobie wafelki prince polo?

A to skąd pani wie? To jest strasznie intymna sprawa. Bo ja rzeczywiście te prince polo noszę. To jest tak na wszelki wypadek, wie pani. Jeżeli bufet zawiedzie, to zawsze jak tonący brzytwy chwytam się prince polo.

Ale ma być orzechowy? Czy czekoladowy, klasyczny?
Klasyczny taki.

Ja mam w torbie pięć! Mogę... Te będą dla pana, dobrze?
Dziękuję bardzo. Tak.

Czy w pana sypialni nadal stoi naczynie, w którym są czekoladowe cukierki i wafelki?

Nie stoi na stole, tylko na szafie.

Aha.

Ta szafa ma swoją wysokość i tam jest rzeczywiście pudło ze smakołykami. To są wszystko wafelki o różnych smakach i tak dalej. Pudło było kiedyś wysoko, a w tej chwili jest nisko, dlatego że wnuki urosły. Kiedyś to musiały pytać: „Dziadziu? A czy dziadek mógłby... yyy... tam tego?”. No to sięgałem i dawałem. A dziś siedzę przy telewizorze, a ten najmłodszy wnuk „oko do mnie robi” i pokazuje na szafę. To mówię: „Ależ oczywiście!”.

A ile lat ma najmłodszy wnuk?

Czternaście.

Rozpieszczał pan swoje wnuki?

No wie pani, zazwyczaj dziadkowie rozpieszczają swoje wnuki. Rodzice też kochają po swojemu, ale miłość dziadka jest bardzo opiekuńcza. Tak się obawiam, żeby mu się coś nie stało. Jak on gdzieś tam jedzie, to żeby już... kiedy wróci? Do szkoły, jak mi jeszcze stan fizyczny pozwala, go zawożę, a potem odwożę do domu. Dziś też go miałem odebrać, ale nie, on mówi: „Dziadek! Dziś ty masz zajęcie, to ja przyjadę pociągiem”.

Wie pan, jaka to jest jednostka miary: jedna pieczka?

To Kolski bodajże wymyślił. Musieliby to stwierdzić ci, którzy się ze mną kontaktują.

Wie pan, wie pan doskonale! Oczywiście to jest jednostka dobroci. Na przykład sposób, w jaki pan opowiada o wnuku, można by zmierzyć w tych jednostkach.

Pewnie tak. Są różne jednostki miary.

Ja się czuję skrępowany, kiedy on mówi, że ta miara to pieczki. *À propos* pieczki! Moja małżonka pochodzi z Francji. I kiedy pierwszy raz przyszła do mnie, do domu, była z moją matką, która mówiła po śląsku. Matka mówi do mojej żony: „Wiesz co, dziółcha? Pieczki są w trąbie, weź tam sobie”. Żona mi mówi, że nie wiedziała w ogóle, co to jest. „Pieczki są w trąbie”. Pieczki po śląsku to są suszone gruszki albo śliwki. A trąba to piekarnik. Tam, gdzie się suszą. Żona była mocno skonsternowana.

Albo komary! Matka mówi: „Wiesz co, dziółcha? Ty dej se pozór, bo tam jest dużo kopruchów”. Kopruchów? I takie to wynikały *qui pro quo*.

Kiedys powiedział pan, że bez względu na to, ile lat spędzi pan poza Śląskiem, to do końca życia będzie pan Ślązakiem. Że to jest pana ojczyzna i dom.

Tak. I jeszcze raz bym to mógł powtórzyć, bo kiedy człowiek już jest starszy, już przekroczył smugę cienia, tym

Matka mówi do mojej żony: „Wiesz co, dziółcha? Pieczki są w trąbie, weź tam sobie”. Żona mi mówi, że nie wiedziała w ogóle, co to jest.

bardziej go ciągnie do rodzinnych stron. Chciałby tam troszeczkę pochodzić, pooglądać dawne kąty, gdzie krążył, i dlatego to przywiązanie jest bardzo szczere i bardzo gorące.

A kiedy słyszy pan słowo Godów, to jest ta mała wioseczka, w której przyszedł pan na świat, to jakie są pierwsze kadry, pierwsze skojarzenia?

Godów to nie jest mała wioseczka. Tam jest ileś sołectw!

Ale tak dla uratowania mojego honoru, to jednak wioska, a nie miasto, prawda?

Tak. Wioska leży nad samą Olzą. Myśmy się razem z Czechami kąpali w tej Olzie. Wtedy była woda czyściuteńka. A potem, proszę sobie wyobrazić, kiedy były wianki, to myśmy je puszczały na Olzie. I na tych wiankach były świece i trochę płynęły. To tam Czesi z drugiej strony bęc w nie kamieniami. Wszystko dlatego, że myśmy zostali zmanipulowani nacjonalistycznie. Pamiętam tamte czasy. Nieszczęście dla Europy. Nieprawdopodobne nacjonalizmy, które doprowadziły do katastrofy. No a później, jak się wianki skończyły, znowu byliśmy razem. Ja zresztą miałem wujka Czecha, który mieszkał na Zaolziu. Spędzałem u niego wakacje i w 1938 roku.

Miał pan wtedy dziesięć lat.

Miałem dziesięć lat, kiedy nasi zajmowali Zaolzie. A potem pamiętam w Pradze, bodajże w Instytucie Polskim,

było pytanie: „Czy grałem w czeskich filmach?”. Mówię: „Nie za dużo grałem w czeskich filmach, ale może dlatego, że to taka kara była, bo ja zajmowałem Zaolzie”. Konster-nacja: „Zajmował pan Zaolzie?”. No więc powiedziałem, na czym rzecz polegała. A polegała na tym, że tankietki jechały przez Godów, my, chłopcy, biegliliśmy za nimi i żołnierze nas na te tankietki posadzali i tak na jednej z nich wjechałem na Zaolzie. Czyli je zająłem. Pani wspomniała o *Znachorze*, którego oglądałem. To też było po trzydziestym ósmym.

Właśnie, proszę powiedzieć, ile kilometrów musiał pan iść pieszo, żeby ten film zobaczyć?

To było jedenaście kilometrów. Starsi chłopcy prowadzili, a myśmy szli za nimi.

No, tego nigdy nie zapomnę. Przeszedłem gdzieś koło północy. Późno, a wtedy młodzież tak późno nie przychodziła do domu. Już wiedziałem, co mnie czeka, i tylko hyc, prosto pod pierzynę. Nic nie pomogło. Ojciec wparował do pokoju, podniósł pierzynę, miał taki skórzany pasek i tym paskiem wywijał: „Jo ci dom Znachora, jo ci dom Znachora!”. A później ja i tak do kina chodziłem. Do Wodzisławia. Wtedy ojciec mówił: „Żeby już tam, pierona, bomba trzasła to bezbożnictwo”. I proszę sobie

Ojciec wparował do pokoju, podniósł pierzynę, miał taki skórzany pasek i tym paskiem wywijał: „Jo ci dom Znachora, jo ci dom Znachora!”. A później ja i tak do kina chodziłem.

wyobrazić, jest nalot na Wodzisław. Bombardowanie, rynek zdruzgotany prawie w całości, kościół mocno uszkodzony, tylko budynek kina pozostał i ja potem mówię: „Tata, widzisz? Jaka to jest ironia losu. Tylko kino zostało, a wszystko zniszczone”.

Tata najpierw wołał: „Ty, pieronie!”, a potem z dumą mówił: „Moja krew!”, jak zobaczył pana na ekranie, prawda?

Aha, ha! No tak. Bo to było, kiedy zdecydowałem wbrew woli ojca pójść do szkoły teatralnej. Zresztą byłem miesiąc na politechnice. Po śląsku to znaczy: szajba mi odbiła. Zostawiłem kolegom indeks w akademiku i mówię: „A ja

Po śląsku to znaczy:
szajba mi odbiła.
Zostawiłem ko-
legom indeks
w akademiku
i mówię: „A ja idę
zdawać do szkoły
teatralnej”.

idę zdawać do szkoły teatralnej”. Bo ja, ucząc się jeszcze w szkole średniej w Katowicach w tak zwanym Uniwersyteckim Studium Przygotowawczym, byłem w zespole rapsodycznym przy Wojewódzkim Domu Kultury i tam nasiąknąłem teatrem, pseudoteatrem i tak dalej.

Ojciec mówił do pana: *Hunger künstler*, tak?

Tak, ojciec chciał odwieść mnie od tego zamiaru, więc powtarzał, że aktorzy to są tacy *hunger künstler*, po niemiecku mówił. *Hunger künstler* to jest artysta głodu. On to kojarzył z rybałtami, co to chodzą, krążą po świecie i przymierają

głodem. No ale mimo to zdawałem do Szkoły Teatralnej w Warszawie. A dlaczego w Warszawie, przecież do Krakowa było bliżej? To mój pan polonista był zwolennikiem szkoły warszawskiej. Ja nie miałem własnych kryteriów wyboru, czy taka szkoła, czy taka.

Panie Franciszku, pan może i nie miał kryteriów, ale bez pardonu wparował pan do ministra, żeby dał panu zgodę. Bez żadnego umawiania się. Tak było?

Tak było. Trzeba było mieć zgodę ministra szkolnictwa wyższego na zmianę kierunku studiów.

Ale pan był przebojowy!

Byłem młodym człowiekiem, to i przebojowym. Przyszedłem do sekretariatu i mówię: „Chciałem z panem ministrem rozmawiać”. Patrzy na mnie sekretarka jak na wariata. „Czy jest pan umówiony?”. Ja mówię, że nie, nie jestem umówiony. A to które to drzwi są? A ona pokazuje mi drzwi. Nie czekając dalej, otwieram je i wparowuję do gabinetu. Oczywiście pan minister miał poczucie humoru.

O! To dobrze pan trafił.

Mógł mnie po prostu wyprosić. Ale zobaczył takiego mocno naburmuszonego młodziana, który poprosił go o umożliwienie zmiany kierunku studiów, i się zgodził.

I potem było: chcieć to móc, prawda?

Tak!

Przez całe życie pana prowadzi to zdanie. Ale wie pan, co jest niezwykle zaskakujące? Przecież rok akademicki trwał już, zdaje się, z miesiąc. Pan trafił do prywatnego mieszkania profesora Zelwerowicza. I tam odbył się egzamin.

Jestem bardzo ciekawa, czym go pan przekonał. Co mu pan takiego powiedział, że pana przyjąto?

Wówczas było takie niepisane prawo, że Aleksander Zelwerowicz mógł wskazać jednego kandydata do zawodu aktorского. Mógł to zrobić sam. I Zelwerowicz poprosił mnie do siebie. Przyszedłem, oczywiście byłem przed czasem, Aleksandra Zelwerowicza jeszcze nie było. I w pewnym momencie on wchodzi i zaczyna się tłumaczyć przede mną, że się spóźnił, że to nie powinno tak być.

Jaka klasa!

Patrzę na niego i myślę sobie, że on mnie chyba wpuszcza w maliny, jak to się mówi. Ale nie! Otóż Aleksander Zelwerowicz był pedantem, jeżeli chodzi o punktualność.

I purystą, jeśli chodzi o język.

Tak, mówiłem jakąś prozę, później wiersz. I kątem oka patrzyłem. Widzę, że jest akceptacja i już czułem się prawie aktorem. I kiedy już czułem, że złapałem gąskę, Aleksander Zelwerowicz mówi (*w tym momencie pan*

Franciszek zabawnie obniża tembr głosu): „Panie Franciszku, niewątpliwie ma pan wycucie, ma pan wycucie. Ale niech mi pan powie trzy razy to samo słowo: «miasto». Raz jako miasto fabryczne, drugi raz jako miasto pełne kultury, taki na przykład Kraków, a trzeci raz jako miasto Las Vegas”. Aleksander Zelwerowicz, dobry psycholog, popatrzał na moją twarz i zobaczył, że hasło Las Vegas na mojej twarzy niczego nie odmalowało, bo nie wiedziałem, czym się to Las Vegas je, i mówi: „Panie Franciszku, wie pan, to takie miasto pełne zabaw, uciech i tak dalej”. Powiedziałem więc trzy razy słowo „miasto” i myślę sobie: „No, już jest dobrze.” I kiedy mi się znowu wydawało, że już jest wszystko w porządku, to Zelwer, bo myśmy potem Zelwerem go nazywali, mówi: „Panie Franciszku, a teraz niech pan zmieni kolejność”. A ja z tych emocji zapomniałem sobie, które miasto było pierwsze, które drugie, które trzecie. I tak, proszę pani, tak właściwie na totalotka poszedłem. I na chybił trafił udało mi się zmienić. I dopiero wtedy Zelwer powiedział: „Niewątpliwie, panie Franciszku, ma pan wycucie, jest pan przyjęty”. Szczęśliwy wylądowałem na progu domu rodzicielskiego z walizką. Jak mnie ojciec zobaczył, to zapytał: „Pieronie, już cię wyciepli?”. Ja mówię: „Nie, tata, nie wyrzucili mnie. Zdałem do szkoły teatralnej”. I zamiast go ułagodzić tą wypowiedzią, to jeszcze dolałem oliwy do ognia. Bo wyrzucenie ojciec byłby jakoś przebolewał. Ale tego, że poszedłem wbrew woli ojca do szkoły teatralnej,

to już nie. Pierony się posypały. Te śląskie. Salwowałem się ucieczką, a później, kiedy już zostałem aktorem, kiedy już miałem jakieś chwalebne efekty, prasa o mnie pisała pochlebnie, ojciec mówił: „No, toć przeca on to po mnie odziedzyczył”. Taka przewrotność się u rodziców ujawnia niekiedy.

I tu było właśnie: „Moja krew!”. A tata chciał, aby pan był górnikiem. I pan przez cały rok górnikiem był.

Byłem górnikiem. Miałem takie zdarzenie. Pracowałem w kamielni. Myśmy nie fedrowali, jak się po śląsku czy po górniczemu mówi, węgła, tylkośmy robili przekopy. Albo szybiki od dołu do góry się robiło też...

Ciężka praca, prawda?

Ciężka praca – w kamieniu. A jeżeli się wdycha pył kamienny, to powoduje pylicę. Nieodwracalne zniszczenie płuc. W dodatku górnik przodowy był rozliczany od metrów, od tego, ile tam metrów postępu było. No to szedł jak najszybciej do przodu, do przodu i nie dbał o zabudowę tego, co z tyłu.

O bezpieczeństwo wasze.

A myśmy ładowali. Mieliśmy takie szufle, łopaty i trwał odstrzał. Leżały płyty stalowe, żeby łatwiej było zbierać węgiel. Chwała Bogu, stałem na tej płycie. W pewnym momencie nastąpiło oberwanie sufitu. Kamień uderzył

mnie w głowę, a myśmy wszyscy musieli mieć kaski. Na szczęście nogi mi się poślizgnęły na tej płycie – i to mnie uratowało.

Górnik przodowy zauważył, co jest, chwycił mnie za nogi i wyciągnął. I wtedy wszystko trzasło! Gdyby nie ten jego odruch, toby mnie teraz nie było na tym świecie. Potem mnie prosił, żeby o tym nikomu nie mówić. I ja oczywiście nikomu nie powiedziałem.

I to był ten zakręt, ten zwrot w pana życiu, prawda?

Ten zakręt może nie nastąpił z jakiejś bojaźni. Ojciec sobie wyobrażał, że górnik to jest taki stabilny fach, taki dobry zawód.

Dach nad głową.

Deszcz ci nie pada na głowę, zawsze jest ciepło. Bo tam niekiedy jest aż za ciepło. Ale moja decyzja nastąpiła, kiedy byłem w zespole rapsodycznym przy Wojewódzkim Domu Kultury. Tam gdzieś połąkłem bakcyła teatru. I to potem się odezwało na politechnice. Te wszystkie moje ulubione przedmioty ściste... Ni stąd, ni zowąd, poczułem się jak na tureckim kazaniu. I tak mi brakowało dawnego środowiska, kolegów, zespołu, nastroju, tego wszystkiego. To spowodowało, że się zdecydowałem i jednak poszedłem do szkoły teatralnej.

Górnik przodowy
zauważył, co jest,
chwycił mnie
za nogi i wyciągnął.
I wtedy wszystko
trzasło! Gdyby nie
ten jego odruch,
to by mnie teraz
nie było na tym
świecie.

Do tego potrzebna była odwaga i odważne mierzenie się z samym sobą. Panie Franciszku, jakim pan był dzieckiem?

Trudno mi oceniać samego siebie w dzieciństwie. Oczywiście, kiedy to konfrontuję z dzisiejszymi dziećmi, z dzisiejszą młodzieżą, to myśmy byli bardzo ulegli wobec rodziców. Bardzo pokorni. Aż do tego momentu, kiedy powiedziałem nie! Prawda?

Dosyć późno powiedział pan nie.

Ale to były inne czasy. Dziś, jeżeli ktoś nie ma dużej werwy egzystencjalnej, to sobie nie poradzi na tym szalenie pędzącym świecie. I młodzież się przystosowuje do czasów.

Tak, a kiedyś była hierarchia, prawda? Mama, tata, starsze rodzeństwo. Pan był najmłodszy?

Ja byłem najmłodszy.

Ile was było w domu?

Siedmioro, dożyło sześcioro. I wszyscy dożyliśmy sędziwego wieku, powyżej osiemdziesięciu pięciu lat.

A najstarsza siostra?

Moja ostatnia siostra, która zmarła w zeszłym roku w listopadzie, miała dziewięćdziesiąt sześć. Stąd mam nadzieję, że może geny sprawią, że jeszcze troszeczkę żyję.

Panie Franciszku, te geny są bardzo mocno wspierane przez nieprawdopodobną życzliwość wobec pana wszystkich osób, które na pana patrzą i które pana słuchają. Przecież to jest kumulacja energii. To musi w jakiś dobry sposób zadziałać. Proszę być pewnym, że będzie dobrze.

Dziękuję. Dziękuję za to uznanie. Muszę powiedzieć, wie pani, że się wzruszyłem. No ale to jest bardzo miłe staremu człowiekowi, który oczekuje takiego uznania.

Trochę tak jest, że wszyscy jesteśmy jak lustro. Dajemy światu to, co w sobie mamy. A potem zbieramy żniwo. I pan w tej chwili zbiera żniwo, bo pan tę życzliwość wysyłał w świat. Inaczej by do pana nie wróciła.

No tak. Wie pani, człowiek przeżył bardzo trudne historie w swoim życiu. Kiedy przykre zdarzenia ubarwiają osobowość, ubarwiają człowieka, pozwalają mu później na takie wyważone oceny. Wie pani, nigdy nie byłem w partii, nawet w tamtych czasach. W tej chwili też nie jestem. Mnie się wydaje, że jeżeli aktor, żeby zaistnieć w swoim zawodzie, musi się podierać jakąkolwiek opcją polityczną, to dla mnie jako artysta nie istnieje. Jeżeli nie przedstawia sam sobą takiej wartości, która musi być uznana, to żadne podpórki nie powinny istnieć.

Nie ma na świecie prawdziwego autorytetu, który pomimo potężnego talentu nie byłby człowiekiem.

Właśnie. Talent talentem, zawód zawodem, ale gdzieś tam zawsze ten człowiek wychodzi z za podszewki. Cóż, ja już bardzo dużo pani w tej rozmowie prawie jak na spowiedzi powiedziałem. Wszystkie swoje intymne sprawy przekazuję.

Bardzo dziękuję panu za zaufanie. Myślę, że to wszystko, o czym teraz powiedzieliśmy, można by przypisać artystom Kabaretu Starszych Panów. A wiem, że pan bardzo lubi tego rodzaju twórczość. Zatem mam do pana prośbę. Gdyby zechciał pan wybrać utwór ulubionego kabaretu.

Może piosenka *W Polskę idziemy, drodzy panowie...*, bo ją śpiewał Wiesiek Gołas, mój serdeczny kolega ze szkoły teatralnej.

Rozlega się fortepianowe ostinato. Na twarzy pana Franciszka pojawia się zadowolenie.

W Polskę idziemy, drodzy panowie,
W Polskę idziemy.
Nim pierwsza seta zaszumi w głowie,
Do ludzi lgniemy.
Słuchaj, rodaku,
Cicho!
Czerwone maki, serce, ojczyzna,
Trzaska koszula, tu szwabska kula,
Tu popatrz, blizna.

Przypominam sobie, że jeszcze w szkole teatralnej Wiesiek znakomicie potrafił imitować pijaka. Myśmy mówili: „Wiesiek, zrób pijaka”. I Wiesiek robił. Byliśmy zafascynowani tym, jak to odgrywa. A kiedyś na Krakowskim Przedmieściu odstawiał tego pijaka, a z oddali zbliżał się milicjant. Myśmy go zauważyli, cofnęliśmy się i patrzymy, co to będzie. Milicjant podchodzi: „Obywatelu, co to, tego?”. A Wiesiek, jak zobaczył milicjanta, od razu przestał grać. Na co ten milicjant: „No wie pan? Pierwszy raz mi się na służbie coś takiego zdarzyło, żeby człowiek na mój widok absolutnie wytrzeźwiał”.

Cóż, ja już bardzo dużo pani w tej rozmowie prawie jak na spowiedzi powiedziałem. Wszystkie swoje intymne sprawy przekazuję.

Co talent, to talent. A w panu, ile z Gustlika?

Ile we mnie z Gustlika? Tyle, ile we mnie śląskości. Kiedy zostałem obsadzony w roli Gustlika, to świętej pamięci reżyser Konrad Nałęczki nie wiedział, że pochodzę ze Śląska. I później, kiedy już doszło do konfrontacji z tekstem Przymanowskiego, on się zorientował, że ja ten język wyssałem z mlekiem matki. Dlatego dostałem *carte blanche* do ostatecznego kształtowania dialogów Gustlika. Trzeba było pójść na pewne ustępstwa z powodu komunikatywności z widzem. Gdyby mówić czystą gwarą śląską, trzeba by dawać napisy, żeby widz wszystko zrozumiał. Ale czy mi się to udało? To już nie moja ocena.

To chyba kokieteria?

Ciężka praca to była. A swoją drogą w tamtych czasach tyle tych wojennych filmów kręciliśmy.

Ale w 1995 roku Polacy jednogłośnie uznali, że najlepszy serial wszech czasów to serial pod tytułem *Czterej pancerni i pies*. I jakoś nie mieli wątpliwości. Panowie stworzyli tak wyraziste postaci. Oczywiście rozpatrywano to potem w różnych kontekstach. Stawiano zarzuty, także natury politycznej. Ale mistrzostwo aktorskie przebija z filmu do dzisiaj.

To był jeden z pierwszych seriali. Ludzie byli zafascynowani pancernymi. Mieliśmy w Łodzi przejechać czołgiem

Mieliśmy w Łodzi przejechać czołgiem przez ulicę Piotrkowską. My, pancerni. Tam się podobno, według relacji ówczesnych władz, zebrało pół miliona widzów. I władze były przerażone.

przez ulicę Piotrkowską. My, pancerni. Tam się podobno, według relacji ówczesnych władz, zebrało pół miliona widzów. I władze były przerażone. Bo każdy z obłędem w oczach mógł się na nas rzucić. A gdybyśmy pojechali Piotrkowską, ktoś mógłby wpaść pod czołg. A więc zmieniono decyzję. Powiedzieli, że pojedziemy wozem strażackim. I proszę sobie wyobrazić, nie wszyscy w jednym, tylko każdy w swoim. Dlaczego? Wycho-

dzili z założenia, że jeżeli tłumy się rzucą i poturbują jednego pancernego, to jeszcze im w odwodzie trzech zostanie.

No tak. To było przecież „dobro narodowe”. Żona była dumna?

Jestem bardzo wdzięczny mojej małżonce, już świętej pamięci, za to, że mnie tak wspierała w pracy. Między innymi tym, że nie narzucała swojego chcenia, prawda? Bo tak to bywa niekiedy w małżeństwie, żona mówi, że to jeszcze powinienes, a to tamto powinienes jeszcze, i tak dalej. I tu już następuje lekka degrengolada u męża. Otóż, pod tym względem miałem pełny komfort. I chwala jej za to. Może mnie gdzieś tam słyszy u góry, że ją tak chwale. Tak, Henieczko. Byłaś znakomitą małżonką.

Panu Franciszkowi załamuje się głos. W oczach pojawiają się łzy. Ostatnie słowa wypowiada, patrząc gdzieś hen, ponad sufit radiowego studia. Będąc świadkiem tego wzruszenia, dopiero po chwili wracam delikatnie do rozmowy.

Pan spędził z panią Henryką pięćdziesiąt długich lat.

Tak. W roku naszego półwiecza żona nagle zmarła. Jakaś choroba, polineuropatia i tak dalej. Bardzo szybko odeszła z tego świata. Na szczęście nie męczyła się za bardzo, ponieważ to szybko poszło. Wie pani, ja się śmierci nie boję. Ja swoje przeżyłem. Już nie mam jakichś aspiracji ani życiowych, ani osobistych, ani zawodowych. Tylko proszę Boga, żeby odejść w miarę spokojnie, bez bóleści.

Może mnie gdzieś tam słyszy u góry, że ją tak chwale. Tak, Henieczko. Byłaś znakomitą małżonką.

No i żeby później spotkać się z małżonką. Tam, na górze. Może już przygotowała dla mnie jakie przyjęcie? To by było fantastyczne!

Ona chyba ciągle gdzieś tu z panem jest?

Pan Franciszek nagle młodnieje. Oczy mu lśnią. Opowiadanie o żonie sprawia mu ogromną przyjemność.

Ja mam to poczucie na każdym kroku. Nie mogę jej zapomnieć. I to też jest w domu. Kiedy biorę jakiś przedmiot, od razu kojarzę, że to ona coś tam z nim robiła. Albo zapiski jakiejś, gdzie zapisywała daty. Wszystko stale mi ją przypomina. Ale tak pozytywnie, nie na minorowo, że robię się strasznie przygnębiony. Wiem, że pewne rzeczy są nieodwracalne. I to, co się stało, już się nie odstanie. To tylko w *Jańciu Wodniku*, którego grałem, Jańcio siedzi na ławce i chce cofnąć czas. A tego się nie da zrobić.

Ale jedno jest pewne, że ta prawdziwa miłość, bardzo rzadko spotykana, jest wieczna. Ona nigdy się nie kończy.

Tak! Mnie się wydaje, że ta emocjonalna miłość, fascynacja, te emocje z młodości, przecież nie zawsze trwają. Nawet nie zawsze są. Kiedy człowiek jest już stary i jest razem z tą małżonką, z tym kimś bliskim, to przecież już nie są tamte emocje. Ale to jest ważne, kiedy widzę, że jestem

akceptowany przez drugą stronę i ja akceptuję tego kogoś. Ze wszystkimi jego ułomnościami i *vice versa*. To jest duża radość.

Panie Franciszku, o co w tym życiu chodzi? Po co ono jest?

Czy ja wiem? Jeżeli życiu odjąć to transcendentne, to wtedy wydaje mi się, że nie ma sensu. Jeżeli nasza egzystencja jest tylko fanaberią chemii i fizyki, to życie jest bez sensu. Jestem człowiekiem słabym. Chcę mieć jakieś oparcie i nadzieję. Że gdzieś tam jednak się spotkamy.

Jestem człowiekiem słabym. Chcę mieć jakieś oparcie i nadzieję. Że gdzieś tam jednak się spotkamy.

Co by pan powiedział dzisiaj temu małemu chłopcu, który ciągle w panu jest?

Pozostań zawsze sobą. Bądź taki, żebyś mógł o każdej porze dnia spojrzeć w lustro i nie musiał się wstydzić. Bądź prawym człowiekiem. Po prostu.

A za co pan by mu podziękował?

Hmm... Komu?

Temu małemu chłopcu, który ciągle w panu jest.

Temu chłopcu za co bym podziękował? Że się całkowicie nie wyzyłem tej chłopiwości. Że to jest cenne, kiedy się ma taką nieskażoną wrażliwość. Niekiedy naiwne

postrzeżenie tego świata. To jest właśnie pełna radość. I za to bym chciał podziękować temu małemu chłopczkowi.

Pozostań zawsze sobą. Bądź taki, żebyś mógł o każdej porze dnia spojrzeć w lustro i nie musiał się wstydić. Bądź prawym człowiekiem. Po prostu.

A ja chciałabym podziękować panu, panie Franciszku za wszystko. I myślę, że są to także podziękowania od osób, które będą je nosiły w sercu. Może górnotne, ale prawdziwe. Kłaniamy się panu wszyscy, życząc dużo zdrowia.

Dziękuję za życzenia! „Zdrowie... ten tylko cię cenić potrafi, kto cię stracił”.

Ha, ha... No, ale mam nadzieję, że ta perspektywa jeszcze nie będzie skrócona. Aha! A poza tym kiedyś dostałem od mnicha buddyjskiego szal.

Właśnie.

Szal na długowieczność. Trzymam go w domu i w pewnych stanach emocjonalnych łapię się tego szala jak tonący brzytwy. Mam nadzieję, że jeszcze troszeczkę pożyję. Że jeszcze kiedyś, pani Katarzyno, sobie porozmawiamy. Pani mnie będzie uprzejma zaprosić. I po następnych dziesięciu latach znów się spotkamy i znowu w Polskim Radiu porozmawiamy o tym świecie.

W tym momencie czerwona lampka gaśnie. Jednak nie ruszamy się z miejsc. Bo oto znowu rozlega się jej głos.

Głos osoby, która swoim talentem skutecznie czaruje pana Franciszka.

Błękitne niebo może na nas spaść.

A ziemia może się rozstać.

I nie obchodzi mnie to.

Jeśli mnie kochasz.

(Edith Piaf, *L'hymne à l'amour*)

Kiedy Piaf kończy śpiewać, pan Franciszek jest już bardzo zmęczony. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcie. Kilka miłych słów pod adresem realizatora Grzegorza. I już możemy iść. Najpierw ostrożnie po dosyć stromych schodach. Potem już odważniej. W kierunku samochodu mini yellow bahama. Dlaczego to ważne? Otóż pan Franciszek na jego widok wyraźnie się ożywia.

– *Pani Katarzyno! A czy mogę wsiąść do niego raz jeszcze?*

– *Jasne, panie Franciszku. Tyle razy, ile pan sobie życzy.*

Uśmiechamy się do siebie serdecznie, po czym pan Franciszek wsiada i wysiada. A ja patrzę na tego chłopca w ciele starszego pana z zachwytem.

– *Pani Katarzyno! Pani wie? Oni chcą mi kupić taki duży, żebym wysoko siedział. A mnie się ten mały podoba. Taki chciałbym mieć!*

Odwożę pana Franciszka pod sam dom. Kilka miesięcy później dzwoni telefon.

– Pani Katarzyno, zostałem zaproszony do Baranówki. Czy pani tam ze mną porozmawia?

– Tak!

Odpowiadam natychmiast, chociaż pojęcia nie mam, jak się sprawy układają w moim kalendarzu. Perspektywa spędzenia kilku dni w towarzystwie pana Franciszka wydaje mi się czymś absolutnie priorytetowym. Zatem pewnego sierpniowego poranka wskakuję do pociągu relacji Warszawa–Katowice. Tego dnia Ranczo Baranówka pęka w szwach. Każdy chce zobaczyć pana Franciszka z bliska. A on? Hipnotyzuje publiczność tembrem głosu i opowieściami. Widać, że jest w dobrej formie. Poza tym ma przy sobie wszystkich, których kocha. Swoją najbliższą rodzinę. Dane mi było spędzić z tymi ludźmi kilka dni, dlatego wiem, że słowo „najbliższa” nie jest w tym przypadku frazesem, ale najprawdziwszą prawdą. Zresztą z panem Franciszkiem inaczej się nie da.